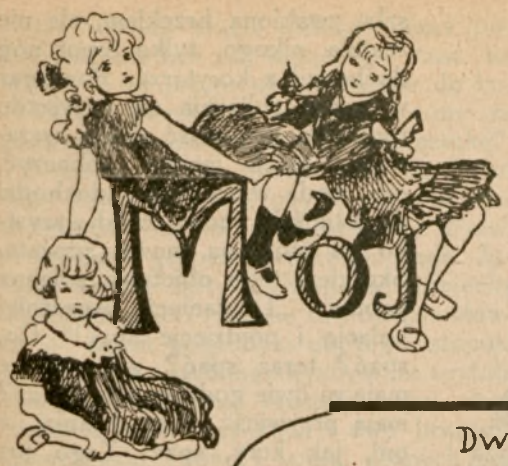


MÓJ ŚWIATEK

DWUTYGODNIK DLA DZIEWCZYNEK.

Nr. 2. 15. września 1927.

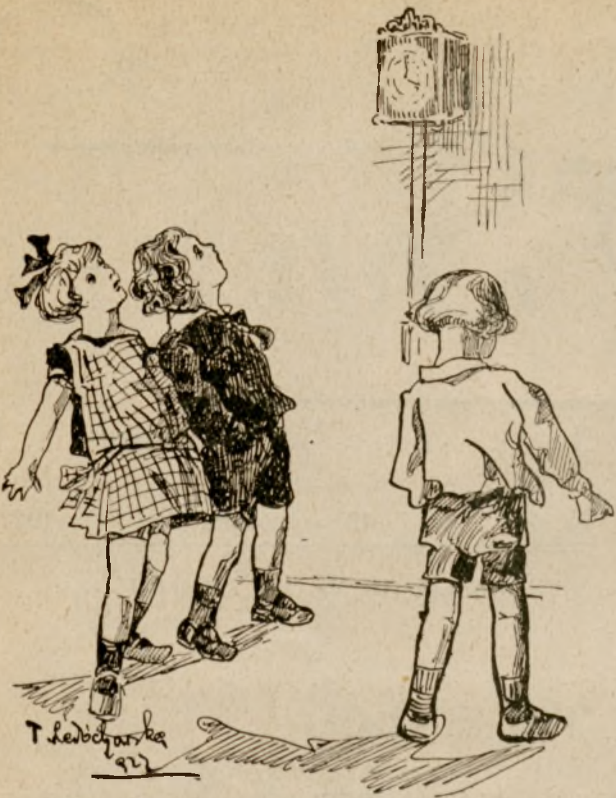
Dodatek do Nr. 16 „Dziś i Jutro“.

JAK TO BYŁO.

Deszcz pada... kropla za kroblą uderza w szybę, dzwoni i rozpływa się, jak łza na buzi spłakanego dziecka — jak gdyby wyrazić chciała swój żal i zawstydzenie, że przesłoniła blaski cudnych, wrześniowych dni.

W dziecinnym pokoju trzy noski przylepiają się do okna i trzy pary oczu śledzą wygląd nieba z wytrwałością, którą mogliby się poszczycić mędrcy z najwspanialszego obserwatorjum świata. „Hesia, idź do lalek, miejsce nam zabierasz, — twój nos największe koło zajmuje na szybie! Co ciebie niebo obchodzi i tak nie pójdziesz polować!“ Skutek tych słów był nadzwyczajny — w okamgnieniu odwróciła się jasna główka, roziskrzone, ciemne oczy wpatrzyły się w braci, a myśli wichrem przelatywały, łączyły się, rozbiegały, zupełnie jak te chmury kapryśne, co ani kawałka błękitu odsłonić nie chciały. Po długiej chwili dopiero, gdy miejsce przy oknie zostało zajęte przez rozpierających się na niem chłopców, Hesia wykrztusiła między jedną falą oburzenia a drugą: „Do lalek, do lalek — upolujcie choć srokę, obydwaj jedną srokę, to ja już pójdę do lalek!“ Witek dostał gwałtownego kaszlu, ot tak niechcący, a Jurek zaczął pilnie przeszukiwać swoje kieszenie z takiem zajęciem, jakby pierwszy raz z niemi znajomość zabierał. Każdy człowiek ma coś takiego, o czem woli, by inni nie mówili głośno — dla nich było to polowanie.

Kiedyś, jeszcze na wiosnę, rodzice pojechali do miasta obiecując, że przywiozą niespodziankę. Chociaż chłopcy nie mieli zapowiedziane, iż mają być grzeczni, słuchać babuni, niańki, gospodyni, ogrodnika i wogóle wszystkich, to jednak starali się bardzo. Przed południem siedzieli tak cicho, że babcia zlękła się nie na żarty, czy nie są chorzy i nawet kazała Onufremu dać im z piwnicy po dwa jabłka „z tych wielkich, czerwonych“. Popołudniu już od trzeciej czekali na rodziców, biegając co pięć minut do stołowego zobaczyć na zegar, przyczem nie omieszkali z dziesięć



— Czy aby nakręcony? — Czy idzie według kolei?

razy zapytać babci, czy aby nakręcony, czy idzie według kolei, czy zgadza się z tatusiowym zegarkiem, czy dawno był w naprawie? nigdy nie był! to źle idzie, naprawdę źle. Myśleli jakąby niespodzianką oni mogli rodziców przyjąć — tak, w szafie tatuś schował prezent na imieniny mamusi; cóż, klucz zabrał, co za szkoda! Przecież oniby jej tylko w sekrecie pokazali, a do imienin zapomniałaby napewno. I znowu wędrówka do zegara w porządku następującym: najpierw sam Jurek, potem sam Witek, potem obydwaj razem, potem każdy z osobna z Hesią, a na końcu i Jurek i Witek i Hesia. Wracając zajrzeli do śpiżarni — Jurek niechcący trącił garnek ze śmietaną i rozlał połowę, prawie klapsa nie dostali wszyscy od kucharki; przechodząc koło kredensu postanowili napić się tam wody i stłukli szklankę; Kasia przyszła, zwabiona brzękiem, ale nie zastała nikogo, tylko tupot nóg dochodził z korytarza. Ponieważ w miarę zbliżania się przyjazdu rodziców gorliwość dzieci wzrastała, chcieli jeszcze zobaczyć, czy woda w wazonie „dochodzi do pełności“, znowu rozlali wszystko na stół, na nową serwetę. Skutkiem tego obietnica solenna babuni: „Dostaniecie wcześniej kolację i pójdziecie spać!“ Co, spać? teraz spać? gdy rodzice mają za dwie godziny przyjechać? mają przywieść niespodziankę, a oni, jak kury, spać! Tego już było zanadto — trzy stropione figurki usiadły w kącie dziecinnego pokoju i wśród łez, pociągania nosem, zaczęła się narada nad sposobem przebłagania babuni. Najlepiej pójdą we troje i poproszą: będą siedzieli, jak myszki, wszystko zrobią, byle tylko zostać.

Widać długo trwały obrady, czy rodzice wcześniej chcieli niespodziankę zrobić, nagle rozległ się daleki, głuchy turkot, coraz bliższy, coraz wyraźniejszy — już zajechali. „Są, są, — Witek, Jurek lećmy, lećmy!“ polecieli — a oczom rodziców przedstawił się dziwny widok: stanęły przed niemi trzy umorusane twarzyczki, poważne oczy podnosiły się to na ojca, to na matkę, jakby oskarżające się z czegoś, proszące o przebaczenie, i... pytające o tę obiecaną, wypieszczoną pragnieniem niespodziankę. Wyobraźcie sobie, że to były łuki, prawdziwe łuki, o mocnych cięciwach, kołczany ze strzałami wisiały u pasków.

Chłopcy nie wiedzieli, czy im się śni, czy to może babunia spać ich wysłała, a dobra wróżka litująca się nad spłakanemi dziećmi, taki sen im zesłała.

Od owego dnia nie rozstawali się ze swoją bronią, a słowo „łuk“ tyle razy było odmieniane przez wszystkie liczby i przypadki, że nawet tak cierpliwi ludzie, jak Onufry i gospodyni byli znudzeni nie na

żarty, Chłopcy ciągle układali plany polowania, chodzili od wczesnego rana na obławy i od progu wołali jeszcze do kucharki: „poczekaj z obiadem — my za godzinę przyniesiemy jakąś grubszą sztukę!“

Przeszła wiosna, upalne lato, już i złocista jesień przysłała swych gońców, stubarwną powódź liści sypiących się z drzew, a obiecanej grubszej sztuki ani śladu. Zaczęły się też żarty z chłopców, uśmiechy niedowierzające, rzucane tu i ówdzie słówka — nawet gospodyni do tego stopnia respektu się wszelkiego wyzbyła, że spytała kiedyś głośno przy mamusi i ojcu, dwu ciotkach, dwu kuzynkach i dwu braciach ciotecznych, Tadku i Janku, znanych pokpiwaczach: „Jak to będzie proszę jaśnie pani z tym obiadem? może zachowam jedną patelnię na tę zwierzynę grubszą, co to nasi chłopcy szykują się zabić?“ To już było zawiele! żeby choć im samym do ucha powiedziała — nieprzyjemnie, prawda, ale zawsze samym! 'lecz tak głośno, przy wszystkich!

Gdy już byli w łóżkach urządzili naradę: Kleofas, pastuch dworski, powiedział im w sekrecie, o którym pół folwarku wiedziało z pewnością, że na skraju lasu pokazał się borsuk. „Niema rady, ten borsuk musi być zdobyty, żywy czy nieżywy!

Rano słońce nie wyjrzało, niebo do widnokręgu zaległy ciemne płaszcze chmur. To nie przeszkoda! Po śniadaniu nic nikomu nie mówiąc, Jurek z Witkiem wybrali się na polowanie. Nim doszli do lasu zaczął kropić deszcz, najpierw małe, drobne kropelki — potem nagle ulewa. Co tu robić? Wdrapali się z wielkim trudem na drzewo, lecz ponieważ trzęśli gałęziami, więc strrmienie zimnej wody wlewały się im za kołnierz — a deszcz ani chwilę nie ustawał. „Jak prawdziwi myśliwi, zupełnie prawdziwi!“ Przesiedzieli już dobrą godzinę, gdy z drugiej strony lasu, gdzie był wąwóz całkowicie zarośnięty jeżynami, odzywa się lekki, przytłumiony trzask: coś idzie szybko, jakby uciekając, a zarazem bardzo ostrożnie, by nie zwrócić na siebie uwagi. „Jurek, rozlega się szept, który usiłuje być cichym, Jurek — to napewno borsuk!“ „Borsuk!“ — więcej słów nie zdołało się wydostać z gardła wzruszeniem ściśniętego. A szelest zbliża się, już jest o dwa kroki, już pod drzewem — chłopcy odetchnąć nie śmieją, by nie spłoszyć wymarzonego grubszego zwierza. Krótka, cicha komenda, drżące ręce szukają strzał, naciągają łuki — strugi deszczu zalewają oczy, sączą się do otwartych ze wruszenia buzi; ostatni umówiony znak



Wdrapali się z trudem na drzewo.

i strzały, szybsze niż lot ptaka trafiają w ukryte pod drzewem zwierzę. Najpierw krótki pisk, coś w tym rodzaju, jak gdy się ogon koci przymknie drzwiami — „to on tak mówi?“ przemyka przez głowy chłopców, „widać ostatni głos przed śmiercią!“

A z pod drzewa rozlega się głos — Ino mi zleźta z tego drzewa, to zobaczyta!“ i śmignęło coś aż na szczyt brzozy.

Cóż mieli zrobić, zleźli — i przekoaali się, że to nie był borsuk, ale wiejskj pastuch, który odgrażał się, że panu powie, że psa za nimi puści, że swoją mamę za-

woła, wreszcie, że do drzewa ich tu przywiąże. Obeszło się bez tego wszystkiego, bo poszkodowany dał się ułagodzić kilkoma jabłkami i solennem zapewnieniem, że to nieumyślnie: „bo czemu taki jesteś podobny do borsuka!“ tłomaczył Jurek,

Tak się to czasem coś nie wiedzie, a im nie wiodło się polowanie!

M. R.

Jak lew zapraszał gości na zabawę.

(Bajka kreolska [1]).

— List od Jego Królewskiej Mości Najjaśniejszego Lwa — wołał zając, przeskakując po dwa zagony naraz.

— List od Jego Królewskiej Mości z za-pro-sze-niem na za-ba-wę! Krzyczał donośnie. Ubrany był w liberję królewską, a u boku miał przewieszoną torbę listonosza. Właśnie u skraju pola dostrzegł pięć malutkich, drewnianych chałupek i tam skierował swoje skoki. Była to osada, w której mieszkały w zgodzie i miłości: stara gęś, prosię, baran, pies i kogut. Cudowna przyjaźń panowała między niemi. Każdy był panem w swoim domku, ale nieraz schodzili się razem na sąsiedzką gawędę — wspólnie też pomagali sobie przy gospodarstwie.

W chwili, w której zając dobiegał do zagrody, tylko gęś była w domu. Cierpiała dnia tego bardzo na ból głowy i przewiązała ją sobie nawet chusteczką. Usłyszawszy donośny głos posłańca, wybiegła mocno wzruszona.

— Od Jego Królewskiej Mości z zaproszeniem... doprawdy? bardzo mi przyjemnie — mówiła, dygając raz po raz. — Ja coprawda jestem stara i chora — nie mam przytem odpowiedniej toalety na taką uroczystość, ale moi towarzysze i owszem... bardzo chętnie. Taki zaszczyt! Zając podał jej pięć listów, opatrzonych pieczęcią królewską, poczem szastnąwszy nogami w grzecznym ukłonie, popędził dalej.

— Doprawdy, ktoby się tego spodziewał — mówiła do siebie gęś, nie mogąc opanować wzruszenia. Taki honor. Być proszoną przez samego Króla...

Odłożywszy na bok listy przeznaczone dla swych towarzyszy, wsadziła na dziób okulary, i złamawszy pieczęć, zaczęła czytać z upojeniem pismo, opatrzone jej adresem.

— To nie do wiary — nie do wiary — powtarzała. — Zdaje mi się, że śnię... Strój wieczorowy. Muszą nałożyć fraki... Oczywiście... Żeby już prędzej nadeszli. Zabawa pojutrze — droga daleka, a przecież trzeba będzie niejedno przygotować.

Z westchnieniem ulgi powitała powracających z obiadu towarzyszy. Pierwsze toczyło się tłuste prosiątko, tak objedzone żołędziami, znalezionemi w lesie, że z trudnością poruszało się na krótkich nóżkach. Za niem nadbiegali z różnych stron: pies, baran i kogut.

— Chodźcie prędzej — chodźcie prędzej — wołała stara gęś, machając zdaleka listami. Zaproszenie na zabawę od Najmiłościwszego Pana naszego, Lwa...

— Co... co... zawołał niedowierzająco baran. Chyba się wam coś przyśniło, kochana sąsiadko.

— Ale gdzież tam! Był goniec od króla... przyniósł listy. Czytajcie... czytajcie sami... I podawała im kolejno koperty.

— Hm... hm... rzekł pies po przeczytaniu. Istotnie uroczystość to nielada i zaszczyt dla nas wielki... Strój wieczorowy... Trzeba będzie wziąć fraki. A masz ty frak? spytał się prosięcia.

— Mam — odparło płaczliwie prosię — ale pewno będzie na mnie zamały. Utyłem trochę w ostatnich czasach.

— Bo jesz za dużo, skarciła go surowo gęś. — Ale może da się szwy rozpuścić... trzeba będzie przymierzyć...

[1]) Kreolami nazywają Hiszpanów urodzonych w Ameryce. *(Przyp. redakcji).*

— Taka daleka droga... trzeba wstać jutro o świcie, jęczało prosię. Jestem bardzo zmęczony...

— Patrzcie go... zmęczony — zasyczała stara gęś. — Chyba tem ciągłem jedzeniem. Taki zaszczyt, a on tu narzeka. Właśnie dobrze ci zrobi dłuższy spacer.

— A któż nas zbudzi? — spytał baran.

— Od czegóż ja jestem, kochani przyjaciele — zawołał kogut. Jutro o świcie zapieję! Żebyście mi byli gotowi, ubrani i w drogę. A wy, kochana sąsiadko? — spytał, zwracając się do gęsi.

— Och! ja nie mogę. Jestem stara i słaba. Droga dla mnie za długa i zbyt uciążliwa. Przytem brak mi odpowiedniej toalety. Ale wy nie omieszkajcie wytłumaczyć mnie przed Jego Królewską Mością i podziękować za zaszczyt, jaki mnie spotkał...

Tu gęś uczyniła dyg wytworny, jakby znajdowała się przed samym Majestatem królewskim, poczem rzekła kategorycznie do prosięcia:

— Idź, przymierz frak!

Po chwili prosię wtoczyło się w przyciasnym stroju z wysokim cylindrem na głowie.

— Ależ to już niemodne, takie nakrycie głowy — zajęczała gęś.

— Nie mam innego — odparło prosię, a z gołą głową iść przecież nie mogę.

— Wcale mu do twarzy w tym kapeluszu — rzekł pojednawczo baran. Zresztą skoro nie posiada drugiego...

— Oczywiście! — zawołała gęś — ale frak rozpuścić trzeba, inaczej gotów ci pęknąć podczas obiadu lub tańców.

— Ja nie będę wcale tańczył — narzekało prosię. — Jestem taki słaby, taki zmęczony.

— Z próżniactwa — mruknęła gęś, poczem włożywszy okulary zabrała się do poszerzania wieczorowego stroju.

— No — rzekła po godzinnej robocie — namęczyłam się porządnie, ale przynajmniej teraz wstydu zam nie zrobisz.

Z innymi mieszkańcami osady nie miała kłopotu. Ubranie wszystkich leżało bez zarzutu, a kogut, świadom obyczajów wyższego towarzystwa, przymierzył prześliczny czerwony frak, w którym mu było bardzo do twarzy.

— Przyjdźcie do mnie jutro na śniadanie – zapraszała uprzejmie gęś. — Oszczędzi to wam czasu i trudu...

Nazajutrz, skoro blask poranny rozjaśnił mroki nocy, kogut zatrzepotał skrzydłami i zapiał donośnym głosem.

— Kukuryku! Kukuryku! Kukuryku!

W kilka chwil potem pies i baran wystrojeni, eleganccy, ukazali się na progu swych chałupek.

— A prosię? — zapytał kogut.

— Jakoś tam cicho — rzekł pies, podchodząc do okna mieszkania prosięcia. — Zapiej no raz jeszcze, przyjacielu.

— Kukuryku! Kukuryku! wołał kogut.

Lecz prosię mimo sygnału nie ukazywało się wcale.

— Zastukaj mój drogi — rzekł pies do barana. Ten schylił głowę i uderzył rogami w drzwi chałupki.

Po chwili otworzyły się one, i na progu ukazało się prosię w przekrzywionym na bakier cylindrze i wymiętej, białej kamizelce.

— Tak krzyczycie, jakby się paliło — rzekło nadąsane. — Zdrzemnąłem się jeszcze trochę w ubraniu...

— Ach! ty śpiochu szkaradny — zawołała stara gęś, która w tej chwili właśnie stanęła na progu swego domku. — Jak ty wyglądasz! Popraw-że kapelusz i obciągnij trochę kamizelkę... Ale chodźcie już jeść, moi drodzy, bo czas uchodzi, a podróż przed wami daleka. Wypiwszy śniadanie pies, baran, kogut i prosię pożegnali się serdecznie z gospodynią, a ona długo jeszcze, długo machała skrzydłami, dopóki jej nie zniknęli z oczu.

(C. d. n.). *J. Dynowska.*

PODRÓŻ PODZIEMNA.

— Ja tam wolę dokładnie i pewnie, ciągnął stary, szeroko rozsiadły, pan podbiał. — Wysłałem i ja swoją młodzież [1]) jeszcze z wiosną w drogę. Uważam, że wtedy jest praktyczniej, gdyż niema takiego przepełnienia, jak teraz na jesień, gdy wszyscy spieszą znaleść sobie kącik ciepły do przezimowania. Ale tym malcom, wiadomo, fiu! fiu! w głowie. Leci to z wiatrem, bez żadnego opamiętania. Padnie na dobrą rolę, albo je wiatr zagna na niewdzięczne miejsce, ptaki w drodze wydzióbią i ot zginie to marnie. Ja tam wolę zawsze mieć co innego w zapasie. I wielkie jego, szerokie, karbowane brzegiem, a siwym meszkiem od spodu pokryte liście przybrały wyraz tak chytry, że chuda, wysoka pani gorczyca, z którą prowadził tę rozmowę, aż pożółkła bardziej, z ciekawości. Miała ona ten zwyczaj, że zawsze wchodziła tam gdzie jej nikt nie posiał i dzięki temu utrzymywała z całym światem roślinnym szerokie stosunki. Znała łąki i rowy przydrożne; szczyciła się bliską znajomością ze zbożem. Tylko nie przyznawała się, że ją ludzie pilnie plewili! Natomiast lubiła mówić wiele o pożytku jaki ludziom przynosi. Rodzaj tych przysług pokrywała jednak tajemnicą nie chcąc rozgłaszać, że jej używano do wyrobu musztardy i synapizmów z powodu sławnej ostrości. Teraz wsunęła się cała między najstarsze liście podbiału, aby ani słóweczka nie uronić z ciekawych zwierzeń.

— No, którędy pan dobrodziej podróżuje? pytała, usiłując swej sztywnej, szorstkim włosem pokrytej łodydze nadać nieco wdzięku.

— Pod ziemią, odpowiedział krótko pan podbiał, któremu te przymilania gorczycy wcale w smak nie szły.

— Oj to ciężka przeprawa, wzdychała pani gorczyca, zmacawszy w tej chwili korzonkami wszystkie twarde grudki i liczne kamyczki stojące jej na drodze.

— Mozolna — to prawda, przyznał pan podbiał, ale za to bezpieczna. Zresztą czasu mam dosyć. Ostatnie słowa wymówił z dumnym przyciskiem, gdyż szczycił się tem, że jest rośliną wieloletnią i że nie potrzebuje się śpieszyć, jak byle groszek ginący co roku z nadejściem zimy.

— A możeby pan dobrodziej był łaskaw bliższych udzielić informacyj, co do sposobu swej podróży? ciągnęła dalej ciekawa gorczyca, krygując się z większem jeszcze przymileniem.

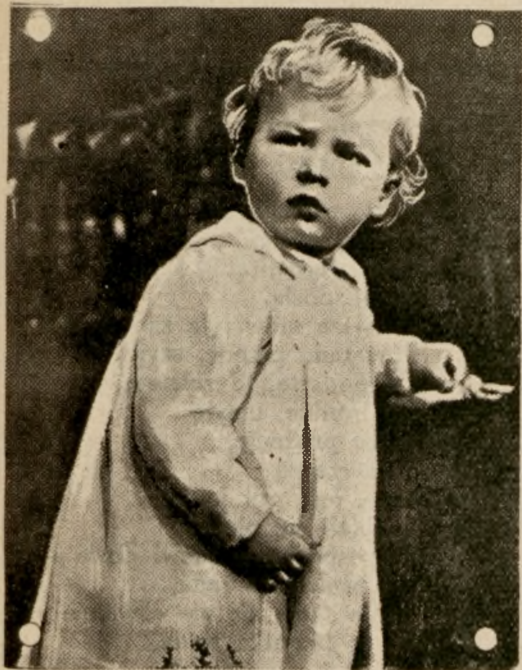
— Oprócz pędów, które waćpani widzisz nad ziemią mam jeszcze łodygi podziemne. Wyglądają one jakby żółtawe sznury i przebijają się we wszelkich kierunkach, a że mają na końcach małe pączki, więc roślina, która z nich na przyszłą wiosnę wyrośnie, znajdzie się nieco oddalona od miejsca, na którem ja dziś rosnę i tak z roku ną rok posuwam się naprzód. Często się zdarza, że prześcignę niejednego prędkiego roztrzepańca, jak to się przytrafiło owemu zającowi, co to się założył o szybkość ze ślimakiem, dodał dostrzegłszy wyraz lekceważenia u gorczycy. A ponieważ zachowanie ciekawej jejmości irytowało go już bardzo, więc rozsiadł się szerzej na ziemi, dając tem znać, że rozmowę uważa za skończoną.

M. S.

---

[1]) Owocki podbiału mają puszek jak u mniszka.

Najmłodszy z współczesnych monarchów.



Król rumuński, Michał I.
(Po śmierci króla Ferdynanda, tron rumuński dostał się jego małoletniemu wnukowi, Michałowi. Do przyjścia tego młodziutkiego władcy do pełnoletności, rządy kraju sprawują jego opiekunowie, stanowiący t. zw. Radę Regencyjną).

Jego Królewska Mość Michał I., król Zjednoczonej Rumunji, za kilka tygodni skończy sześć lat. Jest to śliczny chłopczyk o ciemnych oczach i zlekka wijących się włosach.

Bardzo lubi zabawki, a posiada ich ogromną ilość; są tu okręciki, małe pociągi, samochody. Król Michał jest bardzo ciekawy, o wszystko pyta, jak się to robi? Oddaje się z zapałem sportom i gimnastyce, ale największą przyjemność sprawia mu konna jazda na jednym z koni, otrzymanych jeszcze w zeszłym roku w darze od ludności Banatu. Koniki te są często zaprzęgane do powoziku króla, który niejednokrotnie wyjeżdża poza obręb parku pałacowego i ukazuje się na bulwarze. Jego Królewska Mość do szkoły jeszcze nie chodzi, umie już jednak mówić po angielsku z taką samą łatwością jak po rumuńsku, a gdy skończy lat siedem, ma być podobno uczniem niższej szkoły angielskiej. Będzie więc miał kolegów, będzie się z nimi bawił i psocił, bo podobno Jego Królewska Mość chociaż grzeczny i miły, już i teraz lubi psoty.

DOBRY OPIEKUN.

(Zdarzenie prawdziwe).

Niedawno zdarzył się wypadek, świadczący o wielkiej zmyślności psów.

W jednej wsi zostawiono w chacie śpiące dziecko, bez opieki starszych, gdyż wszyscy wyszli na robotę. Domu pilnował wierny stróż, pies. Dziecko obudziwszy się, wydostało się z łóżka i na czworakach poczołgało się dróżką prowadzącą w dół, do rzeki.

Gdy ojciec dziecka wrócił do chaty i malca nie znalazł, zaniepokoił się bardzo. W tej chwili nadbiegł pies, zaczął szczekać, warować, szarpać zlekka za ubranie, jakby chciał stroskanego gospodarza gdzieś poprowadzić. Wieśniak istotnie poszedł za nim do chaty sąsiada i tam ujrzał dziecko, bawiące się spokojnie. Nie domyślał się jednak w jakiem było niebezpieczeństwie. Sąsiad dopiero opowiedział co zaszło. Dziecko wyszedłszy z chaty, doczołgało się do brzegu rzeki i miało ochotę dalej do wody wędrować, wówczas pies, który pobiegł za dzieckiem, zaczął szczekać i łbem pchać dziecko w przeciwnym kierunku tak, że zmusił je do poczołgania się do chaty sąsiada, który całą tę scenę psiej opieki nad dzieckiem od samego początku obserwował.

ŻARCIK.

— Zosiu, zobacz, czy jest jeszcze nafta w lampie.

— Nie wiele. Dla mnie samej to może wystarczyłoby, ale dla nas dwóch — wątpię.

ZAGADKA.

Co się klei bez kleju?

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Ko, ta, li, sar, e, nie, kra, le, gad, try, nek, ma, czę, na, ny, cho, dam, a, tarz, ków, du, o, wa, e, ru, men, sto, ki, za, wa, mia, na, jec, na. bo, an.

Z podanych zgłosek ułożyć 14 wyrazów, których litery początkowe, czytane z góry na dół, dadzą pierwsze słowa znanej pieśni do Matki Boskiej.

Znaczenie wyrazów: 1) Zwierzę leśne. 2) Książka, na której dzieci uczą się czytać. 3) Roślina lecznicza. 4) Rzeka wypływająca z Zatr. 5) Imię pierwszej niewiasty. 6) Miejscowość słynna cudownym obrazem Matki Boskiej. 7) Rozwiązują czytelniki „Mojego Światka“. 8) Miejsce wiecznej szczęśliwości. 9) Imię matki Najśw. Marji Panny. 10) Owoce. 11) Imię pierwszego człowieka. 12) Góry w Polsce. 13) Dawna stolica Polski. 14) Narząd wzroku.

Za dobre rozwiązanie zagadek lub łamigłówek liczyć będziemy 1 lub więcej punktów, zależnie od trudności jakie łamigłówka przedstawia i od sposobu w jaki jest rozwiązana.

Przed Bożem Narodzeniem odbędzie się losowanie nagród, które dostaną się tym dziewczynkom, które zbiorą najwięcej punktów. Nagród będzie kilka, zależnie od ilości nadesłanych rozwiązań.

A więc — do roboty!

Kto chce na Gwiazdkę zdobyć „niespodziankę“ niech przysyła do redakcji rozwiązania podawanych w „Moim Światku“ łamigłówek, lub nowe łamigłówki własnego układu, które tak jak rozwiązania liczyć będziemy.

Przysyłając rozwiązania, lub nową łamigłówkę trzeba za każdym razem podać imię, nazwisko, wiek, klasę do której uczęszcza pisząca i jej adres.

Rozwiązania łamigłówek z Nr. 1.

1. ŁAMIGŁÓWKA WIERSZYKOWA.

Dwie Marysie chwaliły się
Przed sąsiadką Zosią,
Jaką rządną, pracowitą,
Każda jest gosposią.
Pierwsza mówi: Ja zamiatam,
Sprzątam, przędę, szyję,
Co podarte, to załatam,
Co brudne, umyję
I ja także nie próżnuję,
Druga na to rzecze
Dzieci bawię, jeść gotuję,
Wiem jak chleb się piecze.
Ej gosposie — mówi Zosia —
Pochwalę was rada
Tylko same się nie chwalcie
Bo to brzydka wada.

2. ŁAMIGŁÓWKA PRZYSŁOWIOWA:

Kto rano wstaje temu Pan Bóg daje.

Dobre rozwiązania nadesłały: Kazia Wróblówna i Zosia Nowińska z Kołomyi, Marysia Dolnicka i Józia Pałahicka ze Stanisławowa, Zdzisia Zglinicka z Krakowa.

Każda otrzymała po 2 punkty.

TREŚĆ:

M. R.: Jak to było str. 9. J. Dynowska: Jak lew zapraszał gości na zabawę 12. M. S.: Podróż podziemna 14. Najmłodszy z współczesnych monarchów 15. Dobry opiekun 15. Żarcik 16. Łamigłówki 16.

Warunki prenumeraty „Mojego Światka“ od 1. września 1927 do dnia 1. stycznia 1928 zł. 1·50. Dla prenumeratorek „Dziś i Jutro“ zł. 1·20. Numer pojedynczy 20 groszy, dla prenumeratorek „Dziś i Jutro“ 15 groszy.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor:
Julja Felicja Bronikowska.
Odbito w Drukarni Polskiej w Krakowie.